Nr. 44. Poznań, niedziela 1-go listopada 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Połamane sztandary.

Dzień każdy niemal przynosi nam odgłosy walki toczonej w Austryi, a zwłaszcza nad falami Dunaju pomiędzy partyą quasi-liberalną — a partyą antysemitów.. .. Kto zwycięży? Luegerowskie „Vae victis“ brzmi coraz donośniej.

Lata całe w życiu politycznem Austryi wrzała walka zaciekła i gorąca — lecz wśród niej jaśniały zwycięstwem sztandary liberalizmu, niosąc znękanej absolutyzmem tronu ludzkości wolność i zbawienie.

Dlaczego dzisiaj sztandary te nie promienieją dawną chwałą bojową — dlaczego tak łatwo druzgocą je gromy, miotane nań przez szermierzy antysemityzmu? — To pytanie musi opanować nasz umysł, skoro przeglądamy kartę dziejową Austryi ostatniego stulecia i porównujemy okresy rozwojowe liberalizmu w monarchii Habsburgów.

* * *

Kolebką liberalizmu jest wiek XVIII, przynoszący ludzkości zasadnicze zmiany pojęć o państwie i stanowisku człowieka w państwie.

Średniowieczna teokracya zwalczana już teoretycznie najskuteczniej przez myśliciela XIV wieku Wilhelma Occama[1]) — spłonęła w pożarze reformacyi Lutra. — Lecz równocześnie wyrastała władza monarchiczna, wyradzając się w twardy absolutyzm — a pamiętne słowa Ludwika XIV „l'état c'est moi“ — przypominają żywo sławną bullę „Unam Sanctam“ Bonifacego VIII, głoszącego najwyższe panowanie tyary papieskiej nad światem. Reformacya nie była nawet przedświtem prawdziwej wolności, bo głosząc żelazną formułę „cuius regio illius religio“ była tylko przejściem z jednej niewoli w drugą.

Wiek dopiero XVIII wolno nam nazwać zaraniem tej wolności, którą dzisiaj oddychamy i żyjemy.

Założenie państw reprezentacyjnych przez kolonistów amerykańskich, zwycięskich w wojnie z Anglią o niepodległość, i huragany wielkiej rewolucyi francuskiej zdobywającej „prawa człowieka“ — spowodowały najzupełniejszy przewrot w pojęciach o stanowisku obywateli w państwie. Zasada: „panujący jest pierwszym sługą państwa“ zwyciężyła nad obłędem doktryn „oświeconego absolutyzmu“ i głów ukoronowanych.

Echa walki toczonej w Ameryce przebrzmiały, rusztowanie gilotyny, splamionej niestety krwią tylu niewinnych ofiar, w proch się rozpadło, ale słońce, które wśród tych przewrotów zajaśniało zbiedzonej ludzkości, — słońce wolności i swobody już nie zagasło, — przeciwnie jego światłem poczęły teraz żyć narody, znękane pomroką ubiegłych wieków. Najdroższym skarbem, jaki ludzkość wyniosła z tych wielkich przełomów dziejowych, jest właśnie liberalizm — idea wielka i promienna, oznaczająca: *wolność*. Znany publicysta polski Wilhelm Feldmann tak charakteryzuje liberalizm:

„Przeciw zamykaniu ludzi w szrankach stanów średniowiecznych, przeciw niewoli chłopa w poddaństwie, a rzemieślnika w cechu, przeciw panowaniu absolutyzmu królów, przywilejów feudałów, omnipotencyi duchowieństwa, przeciw krępowaniu tysiącem zakazów swobody osobistej i ekonomicznej, — podniósł on (liberalizm) sztandar protestu i wypisał na nim hasło równości obywatelskiej i wolności. Nad tym sztandarem unosiła się biała gołębica, zwiastująca spokój i szczęście, hasło braterstwa“[2]). Charakterystyka ta czyni zbyteczne dalsze wywody, bo zamyka w sobie wszystko, co o *prawdziwym* liberaliźmie powiedzieć możemy.

Hasła te dotarły i do granic Austryi w której absolutyzm królewski za Józefa II doszedł swego szczytu. Wiatr wiejący od tronu tłumił tu wszelkie objawy, dążące do wywalczenia zgnębionej ludności praw politycznej swobody. Dzień każdy przynosił nowe formuły i ukazy, ukute w kancelaryi cesarskiej, uciskające poddanych coraz to większym, coraz bezwzględniejszym absolutyzmem.

Jedną też z najcięższych walk musiał liberalizm stoczyć w monarchii austryackiej, i mimo największych przeszkód, napotykanych na każdym kroku, wyszedł z politycznego boju zahartowany i zwycięski.

Jak jutrzenka, która z za mgły nocnej wychyla zrazu blady tylko promień, powoli jednak rośnie, nabiera blasku i coraz to bardziej różowe smugi światła rozpościera na niebie — aż wreszcie złotą gloryą słońca zajaśnieje — tak, też i wielka idea liberalizmu wzrastała, nabierała sił i żywotności, aż skupiwszy pod swoją chorągwią całe szeregi miłośników wolności zwaliła w gruzy stary, nienawistny porządek rzeczy i stworzyła w Austryi ten świat polityczny, w którym dzisiaj żyjemy.

Uciemiężone stany znalazły w szermierzach liberalizmu szlachetnych obrońców. Wieśniak, jęczący w jarzmie poddaństwa, został usamowolniony, równość stanów i równouprawnienie wyznań, najpiękniejsze zdobycze *XIX* wieku, zostały urzeczywistnione. I za prawami kościoła katolickiego, zniewolonego do służalstwa rządowi, ujął się liberalizm, by potem gorzką odebrać zapłatę od partyi ultramontanów. Konstytucya zapewniła ludowi wolność i swobodę. Tak liberalizm oczyścił powietrze z trujących życie austryackiego narodu wyziewów — i dziś wszelkie zdobycze polityczne jego szermierzom ma Austrya do zawdzięczenia. Idea liberalizmu stała się arką zbawienia, świeciła narodowi w ponurych chwilach jasno i promiennie, jak ów, przechowany nam w powieściach biblijnych słup ognisty ludowi Izraela, spieszącemu nad fale Jordanu.

Tak świetnie rozpoczęty pochód ku urzeczywistnieniu najpiękniejszych ideałów liberalizmu dzisiaj prysnął, a wierny wyznawca tych haseł z pogardą w duszy odwrócić się musi od obecnych liberałów Austryi.

Z obrońców swobody stali się oni stronnictwem, szukającem tylko własnego interesu i zysku, egoizm partyjny czarnym osadem splamił ich sztandary, połamane i podarte na szmaty dłońmi tych, którzy je nieść powinni czyste i nieskalane, lśniące w promieniach politycznej cnoty i prawdy! Od nich — od tych handlarzy politycznych — gotowych dla własnego zysku poświęcić wszelkie interesa ludu odwraca się umysł obywateli Austryi.

Liberalizm sterczy dziś na polu walk politycznych, jak szkielet, odarty z uroków życia, a dzień każdy wzmacnia szeregi antysemitów, którzy zaprzysięgli walkę na śmierć i życie swym wrogom. Dawniejsza ludność Austryi z wiarą dziecięcą tuliła się pod opiekę liberałów; każdy niemal prawy obywatel ich ideałami żyć pragnął, — dziś gdy te świetlane postacie ojców ludu posnęły już w mogiłach, kiedy szranki bojowe, ozdobione przez nich zwycięskim wawrzynem, gęstym zarastają chwastem — bije godzina śmierci dla liberalnego stronnictwa.

---

[1]) Wilhelm Occam Dialogus.

[2]) Dziennik Krakowski Nr. 57. — Artykuł „Liberalizm wiedeński“.

„Precz z liberalizmem! niech żyje Lueger i jego hasła!“ wołają tłumy — niech nie zapominają jednak, że tylko z faryzeuszami liberalizmu kruszą kopje.

„Precz z liberalizmem!“ wołają — a okrzyk ten w fałszywem uogólnieniu ogarnia nietylko komedyantów liberalizmu lecz dyskredytuje wielkie idee tych, co pomarli. Gdyby nie liberalizm i jego zabory, czyżby dziś ta roznamiętniona ludność mogła i była zdolną występować na politycznej *arenie?* Liberalizm wywalczył jej prawa, wychował i wypieścił, uświadomił i wykształcił do politycznego życia. Broń, którą dzierzy, otrzymała z dawnych twierdz liberalizmu.....

A. B.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

„Kraj“ przeciw Stańczykom galicyjskim.

Nawet konserwatywny „Kraj“ petersburski wyraża w ostatnim numerze niezadowolenie swoje z postępowania galicyjskich Stańczyków wobec ruchu ludowego. W artykule „Na Bezdrożu“ czytamy:

„Stronnictwo, nadające kierunek dzisiejszej polityce galicyjskiej, popierało w swoim czasie reformę wyborczą p. Badeniego. Kto raz na to się zdobył, kto sam pchnął Austryę na drogę głosowania powszechnego i powołał do życia publicznego tylu nowych wyborców, temu nie wolno w parę miesięcy później przestraszyć się swego własnego czynu i widzieć w rozbudzonem życiu tylko wielkie nieszczęście, z którem policya po swojemu rozprawiać się musi.

Nikt nie posądzi nas o brak szczerej, gorącej sympatyi dla tej trzeźwej, rozumnej polityki, której Galicya tyle zawdzięcza, a która w gronie polityków krakowskich znalazła przedstawicieli, mających odwagę przyznawać się głośno do swoich przekonań i wysnuwać z nich nieuniknione konsekwencye. Ale właśnie dla tego pragniemy, ażeby między tą myślą przewodnią a dźwigającemi się z uśpienia masami nawiązała się ta niezbędna łączność, bez której każdy program w społeczeństwie, mającem życie konstytucyjne, zwiędnąć musi. Upragnionego tego związku nie wytworzy interwencya policyi, lub żandarmów. Wytworzą go tylko ludzie, którzy powiedzą sobie to, co już zrozumiały wszystkie wielkie stronnictwa na Zachodzie, a mianowicie, że kto nie umie trafić do przekonania szerokim warstwom, kto lęka się zetknięcia z niemi, kto nie wierzy w możność porozumienia, ten musi pisać testament polityczny, bo w w. XX miejsca dla niego nie będzie. Program większości sejmowej wogóle, a stronnictwa krakowskiego w szczególności, jest zanadto żywotny, zanadto wypróbowany, zanadto społeczeństwu potrzebny, ażebyśmy się ośmielili przypuścić, że właśni jego obrońcy narażą go na niebezpieczeństwo, zrażając do niego tych, którzy stanowią wielką siłę przyszłości.

— ski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Sytuacya ekonomiczna
w Poznańskiem.

Jeżeli mogliśmy z uznaniem mówić o sprawozdaniu izby handlowej w Opolu, to nie możemy tego powtórzyć o sprawozdaniu izby poznańskiej[1]). Wiele tu słów, mało cyfr, mało ilustracyi. Sprawozdawcy skrupulatnie zaznaczają każdy fakcik z działalności izby, każde choćby bezskuteczne podanie do władz i t. d., ale nie są w stanie dać żywego obrazu sytuacyi ekonomicznej. Sprawozdanie zajmuje 260 stron, Opolskie tylko 122, a pomimo to zawiera faktycznego materyału trzy razy więcej.

Szkicując położenie ekonomiczne, sprawozdawca zaznacza, że Poznań nie skorzystał z polepszenia sytuacyi w tym, co inne okręgi, stopniu. Wprawdzie zbyt wzmógł się w niektórych gałęziach, lecz ceny, zdaniem sprawozdawcy, uległy zniżce. Wyjaśnia się to tem, że nieliczne gałęzie przemysłu, jakie są reprezentowane w obrębie obszaru kompetencyi izby handlowej[2]), (fabrykacya spirytusu i wódek, nawozy sztuczne i klej) nie mogły skorzystać z udogodnionych warunków eksportu; handel zbożowy ożywił się nieznacznie. Przy tem warunki dla miejscowego handlu także nie wiele się polepszyły, gdyż rolnictwo zawsze jeszcze produkuje w warunkach nieprzyjaznych.

Zwróćmy się naprzód do handlu zbożowego w Poznaniu. Sprawozdanie zaznacza, że handel ten ożywił się już w roku 1894 i ożywienie trwało również w 1895. Ceny były z początkiem ostatniego roku niskie, na wiosnę podniosły się znacznie wskutek niepomyślnego stanu zasiewów w Niemczech północnych (żyto płaciło w kwietniu i maju 13.30—13,40 mrk., pszenica 16,30—16,50 mrk. za gatunki wyborowe), później jednakże ceny spadły, chociaż pod koniec roku były wyższe niż w roku 1894. Przeciętna cena za rok wynosiła (marek za 100 kg.): żyto 11,55 (11,245)[3]), pszenica 14,974 (13,825). Sprawozdanie zaznacza, że produkcya pszenicy zdaje się zmniejszać; żyto znajduje lepszy odbyt niż dawniej.

Produkcya jęczmienia zwiększa się, ale zawsze jeszcze gatunki nie odpowiadają wysokim wymaganiom zachodnich browarów.

Ziemniaki miały odbyt słaby do fabryk.

Producenci chmielu ponieśli straty wskutek wadliwej spekulacyi. W miesiącach wrześniu i październiku płacono po 160 do 240 marek za 100 kg.; spodziewano się dalszej zwyżki, tymczasem w listopadzie i grudniu ceny spadły na 100—160 mrk.

Ceny wełny podniosły się znacznie wobec ożywienia przemysłu. Ogólnie więc biorąc, ceny produktów rolniczych były wyższe, jednakże rozkwit przemysłu nie pociągnął za sobą dotąd poważnych skutków dla rolnictwa. Co do przemysłu dowiadujemy się następujących faktów: W okręgu sprawozdawczym znajdują się cztery kopalnie wę-

[1]). Jahresbericht der Handelskammer für den Regierungsbezirk Posen für 1895. Posen 1896.

[2]). Dotąd nie cały okręg rejencyi poznańskiej należał do okręgu izby handlowej. Od 1896 roku dopiero nastąpiła zmiana i izba handlowa ma pod sobą cały okręg.

[3]). W nawiasach podajemy ceny zeszłoroczne.

Stefan Żeromski.

„TABU“.

(Dokończenie).

Z wolna wzrok nieszczęśliwej przeniósł się na murawę przydrożną. Niezliczone mnóstwo połyskujących źdźbeł usiłowało wtargnąć na szosę, wedrzeć się na pokład ubitych kamieni. Pani Ewa myślała przez chwilę, krótką jak mgnienie oka, o miękkich korzeniach tych roślinek, które tam w głębi gruntu macają pracowicie ostre kanty potłuczonych kamieni, wtłoczonych w glebę, niestrudzenie roją się pod stopami idących w poszukiwaniu dróg swych i pokarmu. Za rowem były mokre łąki. Deszcze wiosenne zostawiły na nich płytkie jeziorka granatowej wody, rozlane tu i owdzie. W tych smugach kąpały się długie, jasnożółte zagony jaskrów, na miejscach suchych, pod cieniem leszczyn, widniały bladoniebieskie przylaszczki. Naokoło lśniły się w słońcu młode, hajdamackie trawy. Zbolałe oczy pani Ewy, błąkając się bezwładnie po miękkich kępach ziół najbliższych — zbierały z nich i wnosiły do duszy jakiś kordyał przedziwnie uzdrawiający.

— Jakżeście wy szczęśliwe, jakżeście wy szczęśliwe... — mówiła cicho.

Jasna zieloność i niezmierna rozmaitość kształtów, miękkość szerokich, soczystych liści i rytmiczne pochylanie się od wiatru wysokich słupków — działały na duszę pani Ewy tak kojąco, jak niektóre soki traw, niweczące działania zabójczych trucizn. Przedewszystkiem jednak litował się nad nią ciepły i pachnący wietrzyk polny. Podlegała złudzeniu, że ten chyży wędrowiec opuszcza dla niej wysmukłe trawy, że sfruwa z kwiatów pachnących najbardziej, ażeby ją owiewać i pieścić, ażeby wysysać pot z jej czoła, wchodzić do płuc, dotykać nerwów i w głębiach duszy, nad rozszalałemi nurtami rozpaczy wołać swym słodkim głosem: — rozkazuję ci, ucisz się burzo!..

Po prawej ręce od gościńca szła wpoprzek łąki wąska dróżka. Wyżłobione jej koleiny ledwo było widać pod krótką, kędzierzawą wełną trawy. W tamtą stronę właśnie pofrunęła pliszka. I pani Ewa udała się za nią w tamtą stronę, niby przez sen wiedząc, że nie idzie ku stacyi kolejowej. Jak długo szła — nie umiałaby również powiedzieć. Wstrzymała się wówczas dopiero, gdy jej drogę zastąpił staw dosyć szeroko rozpostarty. Weszła na groblę, obrosłą wysokiemi trawami, przy drugim końcu której widać było szeroki, czarny dach młyna schowanego za groblą i kępami gęstych zarośli. Tuż obok stały istne gaje trzcin zeszłorocznych, martwo żółtych i wydających jakiś pogrzebowy szelest za najlżejszym powiewem wiatru. W bliskości tych badylów, które panią Ewę raziły, jak wspomnienie cmentarza, wystrzelały z wody pierwsze pędy tataraków. Przy nich na płytkiej wodzie tarły się w słońcu ryby — i co chwila zarówno kiście zeschłych trzcin, jak młode sitowia wstrząsały się i drżały, jakby od miłosnego dreszczu. Daleko w trzcinach słychać było słodkie okrzyki małych ptaszyn, które sfruwały ze swych miejsc wzbijały się w górę i spadały znowu między krzewy. Po wierzchu wody biegały między drobnemi falami blaski słoneczne. Można było sądzić, że one drżą z jakiegoś powszechnego wzruszenia. Pani Ewa usiadła na ziemi i wkrótce poczuła tak wielkie znużenie, jakby bez przerwy szła dziesiątki mil. Po ciele jej przebiegało jeszcze od czasu do czasu wstrząsające westchnienie, ale myśli i uczucia daleko od rzeczywistego nieszczęścia odleciały. Widziała dokoła siebie ustronny kąt, zarośla i wodę, ale dalej, niejako za temi wszystkiemi zjawiskami spo-

gla brunatnego[4]), które wyprodukowały w roku 1893 — 25,245, ton, w r. 1894 — 27,366 ton, w r. 1895 — 25,259 ton. Zmniejszenie produkcyi jest skutkiem robót melioracyjnych w jednej z kopalń, która zmniejszyła chwilowo produkcyę. Wartość produkcyi wynosiła 80,816 mrk. z czego sprzedano za 63,223 mrkj (resztę zużywają kopalnie na własne potrzeby). Ceny podniosły się o 15 fenygów za tonę i wynoszą 3,20 mrk. Kopalnie zatrudniają 84 ludzi, których płaca przy 12 godzinnej pracy wynosi dla górnika 1,86 mrk., dla pomocników 1,60 mrk. Są to zapewne najgorzej płatni w świecie górnicy. Sprawozdanie zaznacza, że obfite pokłady węgla brunatndgo w okolicach Poznania zawsze jeszcze czekają na eksploatacyę.

Fabrykacya maszyn rolniczych po dawnemu niedomaga: oczekiwany odbyt do Rosyi nie nastąpił, a rolnicy krajowi ograniczają zakupy do minimum.

Gorzelnie osięgły cokolwiek wyższe ceny za produkt, jednakże ogólnie ta gałęź produkcyi nie postępuje. Natomiast browary rozwijają się.

Młyny o tyle źle wyszły na podwyższe zboża, że wskutek wielkich zapasów mąki ceny nie podniosły się w odpowiednim stosunku.

Ścisłych cyfr co do produkcyi, liczby robotników i zarobków sprawozdanie nie podaje niestety.

Cokolwiek dokładniejsze informacye otrzymujemy o handlu. Tak n. p. dowiadujemy się, że weszło w obieg handlowy produktów rolniczych w Księstwie Poznańskiem:

w roku	1891/92[5])	—	42,415,000 kg.
„	1892 93	—	28,520,000 „
„	1893 94	—	41,070,000 „
„	1894 95	—	56,660,000 „
„	1895 96	—	66,420,000 „

Przekazów pocztowych przyjęto w roku 1895 w całym okręgu pocztowym poznańskim na sumę 92,354,000 mrk. (89,270,000 w r. 1894), w biórach miasta Poznania 19,012,000 mrk. (17,776,000 w r. 1894); wypłacono zaś 66,058,000 mrk. (63,947,000 w r. 1894), w mieście 26,307,000 marek (25,160,000 w r. 1894), jak wogóle ruch na poczcie wzrósł znacznie.

Co do interesów bankierskich dowiadujemy się, że pokup na papiery państwowe był znaczny, tak samo, jak na pożyczkę prowincyonalną poznańską $3^1/_2$%ową i pożyczkę miejską. Angażowano się też silnie w akcyach przemysłowych w nadziei obfitej dywidendy. Obroty oddziału banku państwa wzrosły znacznie i wyniosły za rok 1895 — 756,556,400 mrk., w r. 1894 — 669,344,800 mrk., w r. 1893 — 678,819,300 mrk. Ciekawą jest następująca statystyka: Jeżeli obrót banku oznaczyć cyfrą 100 za rok 1876, to otrzymamy dla obrotów cyfry:

	dla całego banku:	dla oddziału Poznań:
rok 1891	— 299,7	211,3
„ 1892	— 284,8	221,7
„ 1893	— 302,4	213,7
„ 1894	— 301,0	210,8
„ 1895	— 330,7	238,2

Widzimy więc z tej tabelki, że obroty w całym banku potroiły się, w Poznaniu podwoiły się tylko. Zkąd wniosek, że handlowo-bankowo stosunki rozwijają się tu daleko powolniej niż przeciętnie w całem państwie. Dalej widzimy, że kryzys spowodował w banku centralnym zmniejszenie obrotów jedynie w roku 1892, w r. 1895 zaś nastąpiło bardzo znaczne ożywienie. W Poznaniu rok 1892 był jeszcze stosunkowo pomyślnym, za to obroty zmniejszyły się znacznie w 93 i 94 a ożywienie w 95 było mniej znaczne.

Bank akcyjny prowincyonalny zwiększył obroty stosunkowo nieznacznie; 70,306,000 mrk. w porównaniu z 63,133,000 w roku 1894. Ogólnego ożywienia życia ekonomicznego nie można jeszcze stąd wnioskować.

Kasa pożyczkowa rolnicza (Posener Landwirtschaftliche Darlehnkasse) miała obrotu w roku 1893 — 113 mil mrk., w 1894 — 135 mil. mrk., w r. 1895 — 183 mil. m. Zysk czysty za te lata wynosił: 6,77% — 8,17% — 6,06%.

„Bank włościański“ miał obrotu: w roku 1894 — 49,306,066 mrk. w r. 1895 — 50,974,403 mrk.

Liczba członków „Banku przemysłowców“ wzrosła z 1705 do 1941, a liczba udziałów po 2000 marek wzrosła z 1862 do 2166.

Obroty „Banku związku spółek zarobkowych“ także wzrosły znacznie: z 71,4 mil. mrk w roku 1894 do 80,6 mil. mrk.

Jeżeli te zwiększone obroty świadczą o tem, że depresya na rynku pieniężnym została cokolwiek usuniętą, to z drugiej strony w handlu detalicznym położenie jest ciągle jeszcze przygnębiające i sądzimy, że sprawozdanie trafnie charakteryzuje położenie, twierdząc pod rozdziałem „towary łokciowe“ (str. 213): „Kupcy detaliczni uskarżają się ogólnie, że nabywców nie sposób nakłonić do wyższych cen i z trudem tylko dał się osięgnąć obrót dorównywający takiemu, jaki był w roku 1894. Powodu szukać należy w zmniejszeniu siły kupczej ludności rolniczej, która ogranicza swoje zakupy do minimum“.

Naturalnie chodzi tu w pierwszej linii o „siłę kupczą“ ludności ubogiej, klasy robotniczej, gdyż w ogólnej sumie obrotów handlowych najpoważniejszą pozycyę stanowią nie ci, co kupują jedwabie i kamgarny, lecz ci, co kupują perkale i wyroby bawełniane w najtańszych gatunkach. Sprawozdanie więc potwierdza pośrednio znany niestety aż nazbyt dobrze fakt, że ludność robocza Księstwa Poznańskiego musi oszczędzać nawet na groszowych swoich wydatkach, że stopa życiowa nie podnosi się. Czy to położenie ulegnie zmianie z polepszeniem ogólnych konjuktur, o tem trzeba wątpić jaknajmocniej. Położenie bowiem jest takie, że z ożywienia ekonomicznego korzysta rolnictwo dopiero w drugiej linii, a dopiero w trzeciej linii korzysta prawdziwa masa producentów: robotnik, najmita rolniczy.

W roku bieżącym ceny zboża pod koniec zaczynają się poprawiać, urodzaje w Księstwie ogólnie można uważać za średnie. Położenie więc większej własności w roku bieżącym poprawi się w porównaniu z rokiem minionym. Stąd jednak nie wynika, że zarobki podniosą się o tyle, żeby wyrównały ogólnej zwyżce cen, a w każdym razie po nad tę zwyżkę nie pójdą. Jedynym więc rezultatem społecznej doniosłości, wynikającym z ożywienia przemysłowego, będzie dla Księstwa wzrost liczby „obieżysasów“, ponieważ nic nie wstrzyma ludności od poszukiwania lepszej doli na zachodzie, a zapotrzebowanie rąk roboczych tam wzrasta.

J. B. M.

[4]). Jedna w obwodzie Bydgoskim, jedna w Międzyrzeckim i dwie w Międzychodzkim.

[5]). Sprawozdanie odnosi się od 1go kwietnia jednego roku do 31 marca następnego.

---

strzegała wyraźnie inną dziwną jawę. Zdawało się jej, że wie doskonale, dlaczego to wszystko tak się odbywa, a nie inaczej, że przenika każdą rzecz i obejmuje drzemiącem spojrzeniem wszystko, aż do ostatecznych granic.

— Jakie to wszystko bezlitosne, jakie to zimne, jakie to nieubłagane... — szeptała, patrząc w przestrzeń, zasłaną krzewami, które wydawały się podobnemi z oddali do chmurek mgły zielonawej. Gdybym tu umarła w tej chwili, gdybym się stoczyła w wodę i utonęła, pożarłyby mię raki i robactwo, a ta woda igrałaby nade mną tak samo cudownie, te ryby tak samoby się pluskały i ta rozkosz, co idzie z rozkwitłej ziemi — szłaby tak samo dla innych...

Po chwili, wzdychając gorzko, znowu mówiła do siebie:

— Kto upada, ten ginąć musi. Śmierć przychodzi do nas nie z pompatycznym mieczem, nie ze zdradzieckim sztyletem, ale z brutalnym żegadłem rzeźnika. Z uśmiechem zabija według praw swoich, według swego obrachunku... Niemasz litości w tem wszystkiem... Och, a czemuż my ją czujemy, po co i na co?..

Po chwili, głucho płacząc, osunęła się twarzą na ziemię. Bardzo długo leżała tak rozbita w sobie i jakby unicestwiona. Dopiero świst jakiegoś pociągu, zdaleka przebiegającego równinę, obudził ją i przywołał do rzeczywistości. Wstała z pospiechem, oczyściła suknię i coprędzej udała się w stronę dworca, którego czerwona dachówka jaskrawo widniała na horyzoncie. Gdy zdyszana od prędkiego chodu przebiegła dworzec i znalazła się na peronie w celu zasięgnięcia wiadomości, kiedy najbliższy pociąg odchodzi do miasta, zobaczyła „tego pana“ Stał oparty o żółte sztachety, miał jak zwykle oczy spuszczone, a jednak widzące każdy szczegół, i uśmiechał się po swojemu. Gdy weszła na peron, raz tylko podniósł na nią oczy, ale ona zrozumiała natychmiast ich wyraz, mówiła bowiem do niej jaśniej, niż słowa: — jeżeli chcesz, ażebym się oddalił, zniknę niezwłocznie...

„Ten pan“ był rysownikiem w pewnem biurze technicznem. Pani Ewa już dawno jeszcze przed chorobą męża, spotykała go na swej drodze, ale nie był jej osobiście znany. Wychodząc z fabryki wieczorem dostrzegała go już to ukrytego na ustronnej ławce, między krzewami skweru, już przesuwającego się obok muru sąsiedniej ulicy. Wiedziała od pewnej przyjaciółki, że jest to bardzo porządny, „społeczny“ facet, wiedziała również — już nie od przyjaciółki, ale z własnego instynktu, — że on zna całe jej życie, czytała nieraz w przelotnych błyskach jego spojrzeń, jak się czule nad nią lituje, czy może — jak bardzo ją kocha. Ceniła to w nim, że nie szukał znajomości, ażeby jej nie podawać na ludzką obmowę, że poprzestawał na krótkich widzeniach zdaleka jej osoby raz na dobę, czasami raz na dwa i trzy dni...

Wszystko to zresztą poszło w absolutne zapomnienie czasu okropnej niedoli, odkąd Henryk Dąbrowski dostał pomieszania zmysłów. Żyła wówczas w tak wielkim upadku ducha, że każda myśl weselsza napawała ją zabobonną trwogą i była powodem bolesnych wyrzutów sumienia. Zdarzało się jej spotykać wówczas nieznajomego pana, ale nieumiałby rzetelnie odpowiedzieć, czy to było we śnie, czy na jawie. Wiedziała, tylko, że był jej miły, jako wspomnienie najlepszych dni życia, kiedy jeszcze nad nią słońce świeciło.

Spostrzegłszy go na dworcu, cofnęła się zaraz do poczekalni stacyjnej, kupiła bilet i usiadła na drewnianej ławce. Przez okno widziała młodego człowieka. Stał, jak przedtem, trzymając w ręce duży bukiet bladoniebieskich przylaszczek i spoglądał na te kwiaty. Później odszedł stamtąd i spacerował wzdłuż peronu. Wpatrywała się mimowoli w jego miękki kapelusz, oblany

LITERATURA I SZTUKA.

Tragedya kobiety.

(Cykl obrazów p. Annę Costenoble.)

Ktoż słyszał o Annie Costenoble? Przed dwoma tygodniami obrazy jej znane były zaledwie zawodowym sprawozdawcom dzienników berlińskich i garstce tej publiczności, która jest stałym gościem Gurlittowskich wystaw. Ten i ów przypominał sobie portret Stanisława Przybyszewskiego i jego interesującej żony, ten i ów kilka drobnych obrazków o symbolicznym kierunku, — lecz nikomu zapewne nie utkwiły głębiej w pamięci te skromne przebłyski talentu, podobne tysiącom innych próbek artystycznych i ginące w powodzi dzieł dojrzalszych, z któremi coraz częściej w Berlinie spotykać się można.

A dziś? Przypominają się słowa Byrona: „Przez noc jej laury wyrosły u głowy“.

Przed dwoma tygodniami mniej więcej wpadł mi w rękę artykuł Rabsilbera zamieszczony w „Kleines Journal“. Tytuł jego: „Tragedya kobiety“ — w nawiasach: „cykl obrazów p. Annę Costenoble“ — początek: „Niezwykłe zjawisko uderza jak wystrzał alarmujący w poranek sezonu wystawowego“. Potem następuje barwna, blaskami zachwytu lśniąca charakterystyka obrazów, a w końcu uwaga, że cykl wystawiony jest na widok publiczny w pracowni artystki, — we wtorki i piątki oglądać go można.

W trzy dni później stanąłem na bruku berlińskim i pędziłem fiakrem na Nettelbeckstr. do mieszkania artystki. Była godzina południowa.

Przed domem kilka powozów, u drzwi portjer znudzony.

— Czy tu panna Costenoble?

— Czwarte piętro, — informował sucho urzędowym tonem.

Drapię się tedy na Parnas, mijając po drodze kilka osób, wśród których poznałem jednego z wybitniejszych krytyków berlińskich.

Zatrzymał mnie.

— Pan także tutaj? To prawdziwa wędrówka ludów.

— Czy do Aten, czy na jarmark? — spytałem.

— O! eine beachtenswerthe Leistung.

Pożegnałem go, — wchodzę do pracowni. Kilkanaście osób płci obojga oblega obrazy. Pokój dość wielki, lecz wydaje mi się ciasnym z powodu mnóstwa sztalug, stolików i ciekawych widzów. Uzbrajam się zatem w cierpliwość i postanawiam czekać spokojnie, aż fala publiczności odpłynie, a tymczasem zatapiam się w szkicach i studyach artystki, wystawionych na uboczu. Lubię śledzić talent w jego krętych wędrówkach, gdy myśl szuka drogi właściwej, szuka linii i ruchu, szuka samej siebie. Jest coś tragicznego w tej walce idei i formy, w tym pierwszym porodzie myśli, niezadowolonej z swych dzieci i targającej okowy. Ileż męki ludzkiej tkwi w takich szkicach Rafaelowskich z Lille i Oksfordu? „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie“ — to samo w każdej sztuce, w malarstwie więcej może niż w poezyi. Tak dumając nad studyami do „Tragedyi kobiety“ i śledząc rozwojowe stopnie artystycznej pracy, przykutej zrazu niewolniczo do modelu, lecz coraz śmielszej, coraz indywidualniejszej, nie spostrzegłem nawet, że pracownia opróżniła się nieco. Dopiero, gdy dwóch mężczyzn — malarzy zapewnie — poczęło dość głośno sprzeczać się o jakieś szczegóły techniczne, porzuciłem tekę i korzystając z chwili, zbliżyłem się do wielkich płócien.

Sześć aktów ma ta „tragedya kobiety“. Symbolizm i naturalizm podały tu sobie ręce, aby po raz miljonowy wyśpiewać historyę „kochanej i opuszczonej“, lecz pod względem śmiałości w przeprowadzeniu tematu posunęła się artystka dalej może niż Corregio w swojej „Jo z Jowiszem“ i „Ledzie z łabędziem“, niż Tician w „Danae“ swojej, — posunęła się tam, gdzie już się krańce sztuki zaczynają.

W słonecznym krajobrazie wiosny, na zielonej murawie spoczywa naga dziewczyna w różowych blaskach wschodzącego słońca. Półdziecko jeszcze, lecz już się budzi kobieta, a zdala bieleją dwie brzozy splecione gałęziami w jakiś groźny uścisk, — niby symbol przeznaczenia i wróżba tragedyi. Oto pierwszy akt.

W drugim obrazie znalazł się już on — mężczyzna — demon w pojęciu artystki. Nagi u stóp nagiej. Klęczy, ramionami obejmuje, a ona głowę tuli do niego z jakąś wielką, bezgraniczną tkliwością. I znów poranek, lecz światło półmgliste jeszcze, blade, zaledwie ze snu zbudzone, i zieleń gęsta w około. Ten obraz dyszy majową świeżością i w całej nagości swojej ma wielką czystość i czułość pierwszego uścisku.

A potem następuje „ekstaza“. Krew w żyłach kipi jak wrzątek, szał lubieżności skręca w konwulsyach obnażoną kobietę i oto oblana księżycowym blaskiem, wije się na dywanie, a w powietrzu błyskają jakieś światła tajemnicze, niby fale płomieni syczących, piekących i przenikających jej ciało. Symbolika barw jest tu właśnie bardzo szczęśliwie zastosowaną a pod względem anatomicznym nie ma ten akt równego sobie w całym cyklu obrazów.

Czwarta scena „tragedyi“ to niewątpliwie najśmielsza ze wszystkich. Na skalnem urwisku leży nadludzkich kształtów niewiasta, niby „Gaca“ olbrzymia, a nad nią huczy burza gromowa i piorun ciska w jej łono. To w symbolu ślub ziemi z niebem, — w naturalistycznem pojęciu: misterium ludzkiej miłości. Pod względem technicznym nie wytrzymuje ten obraz porównania z mistrzami włoskiego renesansu, którzy o mitologiczne odtworzenie podobnych momentów się pokusili, a zresztą mimo artystycznej powagi, cechującej wszystkie utwory artystki, razi tu pewna brutalność i pogoń za efektem. Jest siła wielka w tem płótnie, lecz tylko siła momentu, siła melodramatu.

Szał minął, — rozpoczyna się tragedya. Na tle dziwacznem, wśród jaskrawych plam czerwonych i niebieskich spogląda ku nam popiersie śmiertelnie bladej, bezgranicznie smutnej kobiety. Mężczyzna — demon wyssał jej piękność i porzucił. A ona ręce przyciska do skroni i ma w oczach zamkniętych krzyk przeraźliwej rozpaczy. I znowu ta symbolika barw, nieco sztuczna tym razem i mojem zdaniem zbyteczna. Plamy niebieskie i czerwone to niby obraz tych wrażeń kolorystycznych, których doznaje człowiek już bliski omdlenia. Tło nie podnosi tragedyi, lecz mistrzowskim pędzlem malowana twarz smutnej kobiety ma sama w sobie potężną siłę bezdennego bólu.

Wreszcie obraz szósty. Głową na dół zsuwa się naga kobieta w przepaść posępną, wśród kamiennych złomów, i jeszcze w przedśmiertnej chwili zatapia oczy w niego, — w kochanka — w zwycięzcę, który gdzieś

światłem słonecznem i doskonale harmonizujący z jasnemi włosami, obserwowała szykowne palto letnie, bukiet kwiatów, powolne, zgrabne ruchy i prowadziła oczyma każdy krok „pana“. Wybuchy cierpienia spaliły całą głębinę jej duszy, napełniając ją zarazem niby gruzami i popiołem; dym jakiś owionął mózg, a serce nic literalnie czuć nie było w stanie.

Nadbiegł pociąg. Pani Ewa szybko wsiadła do wagonu i znalazła się w małym i zupełnie pustym przedziale. O minutę później wszedł tam jej wielbiciel. Usiadł w kącie i, jak przedtem, przypatrywał się swoim kwiatom. Pociąg ruszył natychmiast. Pani Dąbrowska, nie odwracając oczu od krajobrazu, przesuwającego się za szybą, trwała w swej nieczułości. Szybki bieg pociągu zdawał się ją unosić, unosić... Nierychło poczuła na sobie wzrok towarzysza drogi. Wiedziała, jak w owej chwili on patrzy na nią, czuła z jak rozszalałą niecierpliwością wyczekuje na jedno jej spojrzenie, doskonale pojmowała jego tęsknotę za taką chwilą od miesięcy, może od lat...

I nagle serce w niej drgnęło. Zapragnęła namiętnie spojrzeć na tego człowieka, zobaczyć jego twarz, oczy, uśmiech.

— Po co mam cierpieć, com winna? — spytała się buntowniczo.

Uczuła w sobie niechęć do wszelkich cierpień tak wielką, że gdyby tylko wstał, wziął ją w ramiona, oparłaby głowę na jego piersiach, wypłakała całe swoje nieszczęście i poszłaby z nim. Byleby tylko wyrwał z jej serca skirą boleści, który je toczył... Wszystek ziemski egoizm uderzył w nią: po cóż cierpieć, po co walczyć z koniecznością, której nic na ziemi nie przemoże?

Głowa jej, oparta o drewnianą deskę nad ławką, chwiała się bezwładnie do taktu z biegiem wagonu, na twarz wypełzał rumieniec, palący jak ogień...

Ażeby go ukryć, podniosła się z miejsca i stanęła w oknie. Zielone pola i łąki uciekały w dal niezmierną. Na horyzoncie widać już było tylko wysoki, czerwony komin szpitala obłąkanych. Z tego komina wydzielał się raz za razem bury kłębek dymu. Pani Ewa patrzała na ten dym uważnie i w łoskocie kół uderzających o szyny usłyszała znowu przeklęte słowa:

— „I być strażnikiem grobów, które proszą o łzy i miłość i być tylko cieniem...“

Rozeznawała treść tych słów ścierpłem sercem i słyszała nawet dźwięk ich bolesny. Nie był to jednak głos jej męża. Był to jakiś głos, niczyj. Usiadła na swem miejscu blada, z zaciśniętemi wargami. Opierając lewą rękę na ławce dotknęła bukietu przylaszczek. „Ten pan“ położył je obok miejsca, które zajmowała przed chwilą. Pani Ewa wzięła w ręce ten bukiet, trzymała go na kolanach i, spoglądając na listki tych nadobnych kwiatków szeptała w myśli do siebie: — zapóźno, zapóźno... Długo tak siedziała zamyślona. Gdy wreszcie podniosła oczy — były bardzo smutne. Zwolna rozwiązała bukiet i z uśmiechem, co jak promień światła jej twarz rozjaśnił, upuszczała te kwiaty na podłogę małemi wiązkami, aż do ostatniej. Wówczas spojrzała na swego towarzysza i rzekła cicho, jakby usprawiedliwiając się i prosząc o przebaczenie:

— Mój mąż jest chory, coraz bardziej chory...

Młody człowiek siedział bez ruchu aż do najbliższej, towarowej stacyi pod samem miastem. Gdy pociąg się zatrzymał, spiesznie wyszedł z przedziału, zstąpił na rampę i ruszył prędko w stronę miasta. Pani Ewa długo jeszcze widziała jego jasne włosy i słyszała odgłos jego kroków głuchy, głuchy...

KONIEC.

wysoko na skalnym szczycie siedzi nieruchomy, sztywny, w granit zmieniony jak Faraon, jak król Amenophis na kolumnie Memnona, co w blaskach zachodzącego słońca grała dźwiękiem tajemniczym. Jest coś asyryjskiego w stylizacyi tego demona — mężczyzny, coś, co przypomina charakter głośnych w ostatnim czasie alegoryi Saszy-Schneidra.

Takim jest cykl obrazów Anny Costenoble. Patrzałem długo w „tragedyę kobiety", pieszcząc się tem objawieniem niepospolitego talentu. Nie wszystko tu jest doskonałe, czasami ręka zawodzi artystkę, niekiedy myśl w niewłaściwych uzewnętrznia się formach, lecz, mimo usterek technicznych, stają przed nami obrazy Anny Costenoble jako prawdziwe, wielkie dzieło sztuki. Nie ideowa i literacka zawartość tych płócien stanowi ich piękność, — lubo młodo-niemieccy zwolennicy „literatury w malarstwie" w tym właśnie kierunku wysyłają zachwyty swoje — nie! to styl wielki, to bogactwo fantazyi, to muzyka barw i śmiałość rysunku składają urok „tragedyi". Między dawnemi malowidłami Anny Costenoble a cyklem najświeższej daty jest skok tak nagły i niespodziewany, że wygląda to już nie na prawidłowy rozwój, lecz na czarnoksięstwo talentu. Fantazyę artystki mogły zaludnić wpływy młodych literatów niemieckich, mogły rozbudzić widziadła spirytystów, któremi podobno karmiła się niegdyś malarka, lecz wydoskonalenie formy pozostaje jej własną, wyłączną zasługą i znamieniem potężnych zasobów artyzmu. Jeszcze ręka malarki nierówno pędzel prowadzi, lecz jest w niej siła, która dziś już ujarzmia.

* * *

Pracownia stawała się coraz cichszą. Zaledwie kilka osób spoglądało na wielkie obrazy. Opodal na szezlongu siedziała wątła kobieta w skromnej, domowej tualecie, bez kapelusza i okrycia. Twarz miała bladą i bardzo zmęczoną. Domyśliłem się, — była to artystka.

— Czy mam przyjemność z panną Costenoble...?

— Tak.

Wymieniłem nazwisko i zawód i dodałem z przekąsem: „Ein Mann".

Uśmiechnęła się.

— Robisz pan aluzyę do rzekomej tendencyi obrazów moich. Jestem podobno wrogiem męzkiej połowy ludzkości. Tak... tak... Panowie krytycy dużo się o tem napisali. Ochrzcili mnie nawet antypodą Strindberga.

— Imię to — odparłem — wydaje mi się poniekąd słusznem. — I ręką wskazałem na inny obraz artystki, przedstawiający elegancko ubranego mężczyznę, o apatycznej, znudzonej twarzy, i nagie kobiety tulące się do stóp jego. Tytuł obrazu: „Der moderne Mann".

Uśmiechnęła się znowu, — a tym razem uśmiech był smutny.

— Szkoda tylko — zauważyłem po chwili, — że nieprzyjaciółka nasza ani u Gurlitta ani u Schultego nie wystawia swych interesujących utworów. Tu trochę daleko i ciasno.

— Cóż robić? — odparła. — Gurlitt nie ma chwilowo miejsca dla pomieszczenia tak wielkich płócien, a Schulte... Schulte widzi pan, lęka się nagości, bo cesarzowa tam bywa, a cesarzowa ciał nagich nie znosi. Moje biedne nagie obrazy muszą zatem pozostać w pracowni.

— A dużo ludzi odwiedza wystawę?

— O! mnóstwo, — od rana do wieczora. Sto razy więcej niż w obu salonach naszych. Zresztą zgłosiło się po moją „tragedyę" kilku przedsiębiorców berlińskich. Zawiozą ją do Pragi, Drezna, Hamburga, Frankfurtu, a z wiosną ujrzy ją Paryż.

W tej chwili zbliżył się do nas jakiś młody człowiek, z pozoru sądząc giełdowicz. Z pretensyonalnym akcentem wydeklamował kilka banalnych komplementów i kilka jeszcze banalniejszych zarzutów, a w końcu zapytał, nad czem artystka pracować zamierza, — co po „tragedyi kobiety" nastąpi?

Zmrużyła oczy. Lekka ironia skrzywiła jej usta.

— „Komedya mężczyzny", — odparła.

Władysław Rabski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W Irlandyi

Przez **Marcelego Prévost.**[1]

(Dokończenie).

II.

Galway[1])

Zwłaszcza w tej części kraju Irlandya zasługuje na smutne określenie cmentarzyska siedzib wiejskiego ludu. Na olbrzymich przestrzeniach nie widać wiosek lecz tylko piętrzące się rumowiska ręką człowieka zrujnowanych domostw. Każdy z nas na tyle jest poinformowany o dziejach spraw agrarnych w Irlandyi, że wie czem są ewikcye dzierżawców. Chcąc się pomścić na dzierżawcy niewypłacającym się w oznaczonym terminie, landlord wzywa siłę zbrojną, policmeni oblegają dom dzierżawcy, przemocą wyłamują drzwi zwykle przed nimi zatarasowane i zabierają ruchomości, wyrzucając mieszkańców pod gołe niebo, bez względu na pogodę i porę roku. Chcąc zaś przeszkodzić, by ci nieszczęśliwi, pozbawieni wszelkiego mienia i przytułku, nie wrócili do pustką stojącego domu, policmeni zabierają drzwi i okna, niszczą dach, pozostawiając tylko ohydnie sterczące mury i połamane wiązania. Takich zniszczonych chat wiejskich jest mnóstwo na całej przestrzeni Zielonej Wyspy. Świadczą one, że ewikcye drzierżawców nie są legendą, lecz okrutną rzeczywistością, smutnemi dziejami istniejącego stanu rzeczy. Miejscami napotkać można całe wioski złożone z kadłubów domów, a porastający je mech rozrostem swym wykazuje epoki popełnianych gwałtów. Do niektórych irlandzkich miast dojeżdża się takiemi przedmieściami stojącemi w ruinach. Nawet zamożne miasto Sligo[2]) posiada przedmieścia w tym stanie.

Jakichże czynszów można było żądać od nędzarzy zamieszkujących te ubogie domostwa w czasach, gdy jaki taki dach pokrywał mizernie sklecone ich mury?.. Chaty irlandzkich wieśniaków zwanych drzierżawcami, są to nory, schroniska, któremi zadowolnić się mogą tylko ludzie wszelkiego dobrobytu pozbawieni. Nieurodzajność gruntu jest wprost przerażająca, i litość serce ogarnia patrząc na te malownicze, lecz jałowe obszary! Zwłaszcza do hrabstwa Counaught stosują się te uwagi. Niezmierzone okiem przestrzenie zarastają karłowate wrzosy, licho rosnące na torfowiskach. By módz tu sadzić jakąkolwiek jarzynę, by módz siać jakiekolwiek ziarno, trzeba utworzyć sztuczny pokład urodzajnej ziemi zwożonej z daleka, ze szczęśliwszych okolic. A gdy taka przygotowawcza praca jest już dokonaną i rolnik uwierzywszy w możliwość przyszłych plonów, zasieje ziarno, zasadzi kartofle, widzi, że wschodzą one marnie, przedwcześnie żółte, anemiczne, przeżarte wilgocią, zgniłe i niezdatne do zbioru. Jakaż musi być rozpacz rolnika patrzącego na takie rezultaty usilnej pracy! a jakaż nienawiść wre w jego sercu, gdy landlord zniecierpliwiony próżnem czekaniem na czynsze, siłą zbrojną wypędza go z chaty, skazując całą rodzinę na ostateczną nędzę. Jakżeż ten rolnik mógł zapłacić czynsze, których nieurodzajność ziemi nie pozwoliła mu zarobić?.. W obec tak nieszczęsnych warunków, czyż można się dziwić popełnianiu zbrodni?.. Czarna nędza i rozpacz irlandzkich wieśniaków, popycha ich ku nałogowemu pijaństwu, lecz wódka zbyt jest słabą, by nieść im dobroczynne zapomnienie, więc opijają się eterem, zabójczą trucizną grożącą wytępieniem rasy.

* * *

Dublin.

Anglia, za pomocą dzienników, systematycznie działa w Irlandyi w chęci zjednania sobie opinii publicznej. Główny z tych urzędowych dzienników Irish Times, jest stekiem chytrych dowodzeń, przewrotnych, antinarodowych poduszczań, które wstręt budzą w umyśle bezstronnego człowieka, czytającego w Irlaadyi tę narodową irlandzką gazetę. Każdy numer Irish Times'a jest hymnem pochwalnym dla Anglii, oraz wezwaniem Irlandyi, by raz ocenić zechciała zasługi i chwałę swej Starszej Siostrzycy, tak dbałej o dobro Erynu. Cynizm tego rodzaju kłamstw przechodzi miarę napotykanych bezczelności w innych angielskich dziennikach, nie pomijając Standard'a.

Podczas mego pobytu w Irlandyi, wypuszczonym został z więzienia patryota irlandzki Daly. Wypuszczono go po trzynastoletniem zamknięciu w różnych brytańskich lochach, albowiem doktorzy osądzili, że jest umierającym. Śmierć jego w więzieniu byłaby wywołała niepotrzebne wzburzenie umysłów, zatem chcąc tego uniknąć, wspaniałomyślnie ułaskawiono go i wypuszczono na wolność. Irlandzcy patryoci chcieli uczcić jego powrót do kraju gromadną manifestacyą radosnego powitania; pragnąc temu zapobiedz, pomieścił Irish Times w swych szpaltach cały szereg artykułów, z których jeden rozpoczynał się w ten sposób: „Rozumie się, że trzeba okazywać wdzięczność waszej królowej, która raczy ułaskawiać przestępnych irlandczyków. Lecz nie należy się rozczulać nad cierpieniami, które, jak niektórzy ludzie głoszą, znosić musiał Daly podczas swego pobytu w więzieniu. Było mu tam bardzo dobrze, a nawet wygodnie... i jeżeli jest chory, to tylko z powodu swego wyjątkowo zniedołężniałego organizmu. Wreszcie zechcijmy się zastanowić, kim jest ten Daly i jemu podobni?.. Są to ludzie do najwyższego stopnia szkodliwi, niebezpieczni, którzy jeżeli się nie trudnili wyrabianiem dynamitu, to mogli zacząć się tem zajmować. Przecież prawie, że im udowodniono zamiar wysadzenia banku w powietrze. Otóż takich ludzi należy unikać, zwłaszcza gdy wychodzą z więzienia. Żaden porządny człowiek nie zechce się przyznawać do znajomości z takim Dalym i jemu podobnymi".

Czy ta urzędowa i podstępna prasa ma jakikolwiek wpływ w Irlandyi?.. czy wynaradawia miejscową ludność?.. czy przerabia irlandczyków na prawomyślnych synów old England'u?... w tym duchu formułowane pytania stawiałem wszystkim wykształconym irlandczykom, z których bardzo wielu poznałem podczas mej podróży, lecz wszyscy oni wątpili w powodzenie zamiarów angiel-

1) Galway, miejscowość na zachodnim wybrzeżu Irlandyi, na tej samej wysokości geograficzne co Dublin.

2) Sligo, miasto położone na zachodnio-północnych brzegach Irlandyi.

skiego rządu. Zdaniem ich, wpływ urzędowej prasy może znaleść podatny grunt tylko wśród ograniczonej warstwy zamożniejszej burżuazyi, która wszędzie jest jednakowo wroga nieprodukcyjnym ideałom. Robotnicy zaś i lud wiejski czytują mało, a prasą urzędową gardzą wiedzeni instynktem, nakazującym im przechowywanie narodowych tradycyi. Irlandya tak jak inne kraje dzierżone przemocą i wynaradawiane przez najezdcze obce plemiona, ulega przemocy, cierpi, lecz żyje, nienawidzi, lecz nie traci nadziei. Jeden jest tylko sposób wynarodowienia kraju przemocą pochwyconego i trzymanego siłą pięści, sposób ten praktykowany przez niemców polega na wytępieniu i wyeliminowaniu miejscowej ludności. Anglicy z powodzeniem uprawiają ten system. Irlandya, ten ostatni przytułek rąs celtyckich wypartych z Wielkiej Bretanii przez anglo-saksonów, została zawojowana w XIItym wieku przez następców Wilhelma Zdobywcy. Pomimo religijnych prześladowań pozostała katolicką, a w XVII wieku Cromwel rozdał całość irlandzkiej ziemi angielskim lordom, skazując ludność kraju na wieczystą nędzę i zależność. Irlandczyk może tylko być dzierżawcą drobnej cząstki swej ojczystej ziemi. Lecz prześladowania spotęgowały poczucie narodowości w sercach irlandzkiego ludu. Duch jego się nie poddał i narodowe tradycye żyją w całości, nawet wśród licznych, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych emigrantów-patryotów. Politycznym uciskiem, sztucznie podtrzymywaną nędzą, Anglia z systematyczną bezwzględnością wypiera miejscową ludność z Irlandyi. W roku 1841 ludność wyspy dochodziła do 8 milionów, w r. 1871 cyfra ta spadła do 5 milionów, a w r. 1891 jeszcze się zmniejszyła o pół miliona. Otóż jeżeli ta etniczna ewolucya nie zostanie powstrzymaną rewolucyą i gwałtownym przewrotem społecznego ustroju, to matematycznie można obliczyć, kiedy Irlandya stanie się rzeczywiście posiadłością angielską, oczyszczoną z prawowitych swych synów.

Szkoła i wychowanie.

Wyższe studya kobiece
w Polsce.

(Dokończenie.)

Dziełem Baranieckiego jest na wzór South-Resington w Londynie utworzone, a za hojnością jego i inicyatywą powstałe „muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie“, (założone w r. 1867). Było ono owocem studyi jego w czasie pobytu w Anglii w r. 1864, gdzie właśnie w łonie społeczeństwa nurtowały idee i ziarna, rzucone w nie już w r. 1851, podczas pierwszej wielkiej wystawy przemysłowej w Londynie, i zaczynały wywoływać wielkie przewroty na polu przemysłu, mianowicie pod względem techniki i artystycznego smaku oraz reform około studyi i edukacyi w zawodach rękodzielniczo-przemysłowych. Drugim znakomitym i pięknym owocem obserwacyi poczynionych w Anglii oraz idealnej, poczciwej chęci zasłużenia się około dobra ojczyzny były „Wyższe kursa naukowe dla kobiet“. śp. dr. A. Baraniecki uznał i ocenił słuszność żądań i dążności kobiet angielskich, wynikających z całego prądu kulturnego i ustroju ich społeczeństwa, i w umyśle jego zrodziło się postanowienie stworzenia nowych dróg dla kształcenia się kobiet polskich w nadziei gorącej, że gdy im się poda rękę z odpowiedniem wsparciem, to wzrosną i powstaną w nich świeże dźwignie bytu moralnego i materyalnego. Ale emancypacyę dla swych rodaczek pojmował Baraniecki inaczej niż dla cudzoziemek, żyjących w odrębnych stosunkach, na wolnej ziemi. Idee jego w tej kwestyi najlepiej określa biograf współpracownik i przyjaciel Baranieckiego prof. J. Wdowiszewski, obecny dyrektor muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie. „Śp. Adryan — mówi on w „Pośmiertnem wspomnieniu“ — odczuł całą słuszność dążności, zwłaszcza angielskich kobiet, ale odczuł także niebezpieczeństwa, jakiemi one groziły świętym tradycyom naszego kobiecego wychowania narodowego; odczuł, że wyżyna, do jakiej sięgały aspiracye zagranicznych emancypantek, musi się wcześniej lub później pomścić krzywdą, wyrządzoną warunkom spokojnego i normalnego rozwoju społeczeństw. Wskutek tego dusza jego stanęła rogato do ekscentrycznej strony emancypacyi kobiet, a przylgła za to tem silniej do zdrowego jądra głośnej kwestyi kobiecej. Podniósł on sztandar, na którym wypisana była kobiecie droga przez przyrodę, estetyczne rozwinięcie smaku i praktyczne poznanie gospodarskich obowiązków — emancypacyę pojmował jako usamodzielnienie kobiety duchowe pod wpływem wyższego wykształcenia, które chciał oprzeć na znajomości nauk przyrodniczych i literackich; pragnął on uczynić polską kobietę zarówno dzielną szafarką na polu dóbr codziennego życia, jakoteż szafarką ducha, któraby jako przyszła matka podawała swym dzieciom najlepszą karmę patryotycznych uczuć; chciał mieć umysł kobiecy zaprawiony estetycznie i czuły na wrażenia smaku i piękna, nietylko w rzeczach wielkiej sztuki, ale i artystycznego przemysłu“.

W myśl tych zapatrywań urządził śp. dr. Adryan Baraeiecki swój zakład naukowy dla kobiet. Podzielił go początkowo na 5 wydziałów: nauk przyrodniczych, historyczno-literacki, artystyczny, handlowy i gospodarczy.

Dla braku funduszów tylko trzy pierwsze są dziś w pełnym rozwoju, a kursa gospodarcze połączono z przyrodniczemi.

Do programu nauk wydziału literackiego należą: historya i literatura polska, historya liter. pow., hist. sztuki, hist. powszechna, hist. filozofii, zasady psychologii, pedagogika, etyka chrześciańska, ekonomia polityczna, hist. XIX wieku z szczególnem uwzględnieniem dziejów porozbiorowej Polski.

W wydziale przyrodniczym wykłada się chemię, fizykę, matematykę, biologię, kosmografię, botanikę, ogólne zasady astronomii i t. d.

Tu należą kursa gospodarcze, które obejmują obok głównych zasad kobiecego gosp. domowego, ekonomikę gospodarczą, ogrodnictwo, warzywnictwo i w ogólnych zarysach gospodarstwo rolne. W wydziale artystycznym wykładają anatomię artystyczną, naukę o stylach i naukę perspektywy, oraz udzielają lekcyi rysunku artystycznego, malarstwa olejnego i akwareli z żywej i martwej natury, tudzież modelowania w glinie i t. d.

Przez kilka lat wykładano w instytucyi tej historyę wszelkich gałęzi artystycznego przemysłu z popularnem i opartem na okazach wyjaśnieniem technik rękodzielniczych, z braku jednakże funduszów prelekcyi tych wkrótce zaprzestano.

Po śmierci nieodżałowanego założyciela „Wyższych kursów dla kobiet“, które podarował z prośbą o wspomaganie i czuwanie nad niemi gminie miasta Krakowa, Rada miejska zgodziła się w zasadzie na utrzymanie kursów, które zreorganizowano w r. 92 i 93 w myśl projektu i referatu z działalności ich, wypracowanego przez grono nauczycielskie.

Dyrektorem zakładu jest obecnie znany, znakomity przyrodnik dr. Rostafiński, prof. wszechn. Jagiel., a wykładają poszczególne przedmioty profesorowie gimnazyów i wyższej szkoły przemysłowej, przeważnie zaś profesorowie uniwersytetu. Pomiędzy prelegentami widzimy: prof. uniw. dr. A. Lewickiego, dr. Rostafińskiego i Czerkaskiego, docentów uniw. Czermaka, Żurawskiego i dr. Konst. Górskiego, obecnie obejmującego stanowisko po Józefie Korzeniowskim w Paryżu, — dalej dr. Ernesta Bandrowskiego, p. Dubieckiego, prof. uniw. Cybulskiego, ks. prof. Gabriela, dr. Pieniążka i innych. Kierownictwo wydziału artystycznego, jak donoszą pisma warszawskie, objął J. Maleszewski.

Egzaminów wstępnych nie ma, — można składać je przy końcu roku szkolnego, na co otrzymuje się świadectwo z podpisem dyrektora zakładu i wykładających profesorów. Kobiety z patentem takim bywają bardzo poszukiwane jako nauczycielki domowe w Kongresówce i Galicyi; innego znaczenia patent nie posiada, gdyż stwarzając wyższe kursa, nie miał ś. p. Adryan Baraniecki na celu, by kobiety do jakiejkolwiek pracy zawodowej uzdolnić, lecz pragnął dać im raczej wyższe wykształcenie naukowe. Według nowego planu organizacyjnego „wyższe kursa“ mają na celu „umożliwienie kobietom nabycia wyższego uniwersyteckiego wykształcenia w zakresie nauk literackich i przyrodniczych, oraz uzyskania głównych podstaw do dalszego samodzielnego kształcenia się w rysunkach, malarstwie i modelowaniu“.

Z całego podziału widzimy, że uwzględnionem zostało wszystko, czego od kobiety wykształconej wymagać możemy, nie pomijając strony praktycznej wykształcenia, na co wskazuje wydział gospodarczy. Pragnieniem było założyciela „wyższych kursów“, aby osoby kończące tu edukacyę, jeśli zajmą stanowisko żon i matek rodziny w przyszłości, spełniły godnie swe obowiązki i umiały rozumnie połączyć je z zadaniami gorliwej obywatelki w społeczeństwie

Wielki nacisk kładł śp. dr. Ad. Baraniecki na studya uczennic swych w hist. sztuki i estetyki, hist. stylów i ongi hist. różnych gałęzi artyst. przemysłu, bo kobieta według niego powinna, obok rozsądku i wykształcenia, posiadać dobry gust i wyrobiony smak estetyczny — powinna sama być przedstawicielką wszystkiego, co piękne, i umieć siać w okół, czy w urządzeniach domu, czy w gospodarstwie i otoczeniu najbliższem, wdzięk, harmonię, piękno.

O pożytku, jaki z zakładu wynoszą uczennice wydziału artystycznego, świadczą odznaczenia, jakie tenże zakład uzyskał: rysunki bowiem i olejne studya uczennic oraz inne prace wystawione w dziale szkolnym na powszechnej międzynarodowej wystawie wiedeńskiej 1873 r. nagrodzone zostały medalem bronzowym, a na Paryskiej 78 r. medalem srebrnym. Przytem studya niektórych uczennic bywały przyjmowane na krajowe wystawy nieustające Towarzystwa sztuk pięknych, a na wystawie krajowej 87 r. w Krakowie studya jednej z uczennic oddziału rzeźbiarskiego były nagrodzone medalem na równi z pracami innych samodzielnych artystów. Dodać wypada, że odtąd wiele innych prac z wydziału art. „Wyższych kursów dla kobiet“ nagrodzone zostało, a nazwiska niektórych uczennic sławą się okryły.

Wielkopolanka.

Z estrady i sceny.

(Syn. Komedya w 4 aktach K. Zalewskiego).

Zalewski kocha się w tezach. Każda jego sztuka nieomal mogłaby nosić tytuł

„Jak myślicie? i takiem „Jak myślicie“ była znowu sobotnia premiera.

Kto jest prawdziwym ojcem? Czy ten, który dał życie dziecku nieprawemu, a potem go nie znał przez lat dwadzieścia i kilka, czy ten, który nie dawszy mu życia, otoczył je najczulszą opieką, wykształcił je i wychował. I komu on, syn nieprawy, jest winien szacunek i miłość? Oto pytanie najnowszej komedyi Zalewskiego. Lecz posłuchajmy fabuły.

Żył pod Warszawą magnat Olkszycki i miał kochankę we dworze. Związek ten nie pozostał bez skutków, a pan bogaty, chcąc matkę przed niesławą ocalić i dać nazwisko dziecku nieprawemu, które świat ujrzeć miało niebawem, kupił faworycie swojej za pieniądze małżonka. Pisarz jego, Koresz, dotknięty ciężką chorobą piersiową, zdecydował się poślubić cudzą kochankę. Wziął kilka tysięcy rubli w posagu. wziął ślub i umarł jeszcze przed rozwiązaniem swej żony. Po śmierci Koresza przyszedł na świat syn, któremu na imię dano Jan, a w kilka lat później zawarła Koreszowa po raz wtóry związki małżeńskie z poczciwym kancelistą Baluszyńskim. Magnat postarał się o to, by drugi mąż jego dawnej kochanki szybko awansował, a zapewniwszy w ten sposób byt swemu dziecku nieprawemu, nie troszczył się więcej o losy małego Jana. Baluszyński nie domyślał się tajemniczych sprężyn awansu swego. Radował się szczęściem, miłował żonę i kochał serdecznie pasierba, a Jan otoczony miłością matki i ojczyma ukończył szkoły i odbył studya prawnicze.

To wszystko stało się przed podniesieniem kurtyny. W chwili, gdy sztuka się rozpoczyna, spoczywa Olkrzycki na łożu śmierci, a w domu umierającego starca wiedzie bój zacięty o spadek rodzina. Magnat nie posiada dzieci z prawego łoża, więc państwo Klaporzewscy i młody utracyusz Dęboradzki starają się usilnie, by zagarnąć miljony bogatego kuzyna. Dęboradzki, jako najbliższy krewny, jest blizkim zwycięstwa i w poczuciu swej siły odrzuca propozycye rywali, aby zawrzeć kompromis i spadek podzielić. Wtedy to hrabina Matylda Klaporzewska postanawia chwycić się ostatecznego środka — zemścić się na przypuszczalnym spadkobiercy i chociaż cząstkę milionów Olkrzyckiego dla siebie ocalić. Choremu starcowi w obliczu śmierci przypominała się dawna kochanka i syn. Pytał się o nich często, lecz sprytna rodzina milczała. Teraz hr. Matylda, poznawszy przypadkiem młodego Koresza, sprowadza go wraz z matką do pałacu Olkrzyckiego. Koresz nic domyśla się niczego. Powiedziano mu tylko, że magnat umierający był przyjacielem i dobroczyńcą jego ojca, że pragnie go widzieć przed śmiercią. Idzie więc i zrazu nie dziwi się niczemu, lecz wkrótce się dziwić zaczyna. Uderzająca czułość chorego starca i jakieś niebaczne słówko hr. Klaporzewskiego rzucają cień podejrzenia na pogodny umysł, a w końcu zjawia się Baluszyński, któremu plenipotent Dęboradzkiego odsłonił całą tajemnicę, i Koresz poznaje ojca w Olkrzyckim. Żal, wyrzuty i łzy. W nieprawym „synie“ budzi się protest namiętny przeciw człowiekowi, który mu uwiódł matkę, a o nim, o dziecku swojem zapomniał. Jego serce należy do ojczyma, z tamtym nie chce mieć nic wspólnego, i gdy magnat ofiaruje mu cały majątek, jako odkupienie winy, on w idealnym porywie odrzuca niespodziewaną fortunę. Olkrzycki zapisuje więc mienie swoje na dom podrzutków, na opuszczone przez rodziców dzieci.

Oto jest szkielet sztuki, której rozwiązanie jest niewątpliwie efektowne, lecz prawdopodobieństwa posiada nie wiele. Grymas przypadku odgrywa wogóle w całym utworze rolę tak wielką, że scena dla widza nie zmienia się w życie. I przyczynowość, logika komedyi budzi chwilami poważne wątpliwości, że tylko wspomnę tę niejasną rolę, którą Baluszyński w ostatnim akcie odgrywa. Nasuwa się tu natarczywie pytanie, dla czego Polkiewicz, plenipotent Dęboradzkiego, odsłania staremu kanceliście tajemnicę żony. Pragnie on według rozumowania autora pokrzyżować plany hr. Matyldy i nie dopuścić, by Koresz odziedziczył mienie swojego ojca. Czyż jednak, nie znając wcale młodego Jana, nie znając jego idealnych, egzaltowanych nieco poglądów, może chociaż na chwilę przypuścić, że Koresz, dowiedziawszy się od ojczyma o tajemnicy swej matki, odrzuci miljony Olkrzyckiego. Obliczenie takie mogłoby się tylko opierać na dokładnej znajomości wyjątkowej natury młodego Koresza, — bez tej znajomości wygląda ten niby sprytny i z naciskiem jako celowa kalkulacya Polkiewicza wysunięty manewr arcynieprawdopodobnie, — tem nieprawdopodobniej, że plenipotent Dęboradzkiego jest zmateryalizowanym do szpiku kości spekulantem, który nie uwierzyłby wogóle w egzystencyę takich Koreszów gdyby ich w sztuce Zalewskiego zobaczył.

Zresztą postać młodego Koresza jest pod względem rysunku zupełnie chybioną. Nie chcę się sprzeczać z panem Zalewskim o prawdopodobieństwo takiej figury, — przypuszczam nawet, że spotykał takich „synów“ nieprawych, lecz my tego „syna“ przez trzy akty nie poznajemy i nikt z nas nie przeczuwa, jakie skarby egzaltowanego idealizmu tkwią w głębinach jego duszy. Rozwiązanie sztuki zastaje nas zupełnie nieprzygotowanych i wywiera wrażenie sztucznego fajerwerku. Brak tu związku logicznego, brak psychologicznych motywów — ale tak bywa zawsze, gdy tendencya ubrana w surdut lub spódnicę wstępuje na scenę.

Mimo tych błędów poważnych, nie waham się ani jednej chwili zaliczyć „Syna“ do udatniejszych utworów Zalewskiego w ostatnim okresie jego twórczości. Jest tam cała galerya typów prawdziwych, świetnych w rysunku i kolorycie, jest dyalog zręczny, naturalny i błyszczący, jest akcya żywa, rozwijająca się prawidłowo i naprężająca uwagę widza. Kwestyę „nieprawych dzieci“ wentylowano wprawdzie tak często w dramatach i powieściach francuzkich ubiegłej doby, że pleśnią trąci mi nieco ten „Syn“ Zalewskiego, lecz byle libretto było zręczne, dowcipne i nowe, to stara melodya nie straci swego uroku. Dobrze by jednak było, gdyby autor „Naszych zięciów“ zechciał nareszcie nieco odświeżyć technikę swoich dramatów. Wiem bardzo dobrze, że w gorsecie kulis konwenans zawsze zachowa królestwo swoje, wiem że najfanatyczniejszy realista musi n eraz w formach dramatu zgodzić się na pewne ustępstwa nie licujące z rzeczywistością, lecz Francuzi dowiedli, jak wiele dawnych „warkoczów“ poobcinać można z korzyścią dla sztuki, i jak nawet w ramach scenicznych zbliżyć się można do prawdy. Nauczył się dużo p. Kaźmierz Zalewski od nadsekwańskich kolegów, nauczył się od nich naturalnego dyalogu i prawidłowej budowy, — niechże więc zgodzi się także na wyrok śmierci, wydany przez francuskich wirtuozów względem monologów i uwag na stronie. Jest to wprawdzie bardzo wygodne, — nie przeczę, lecz nam synom realistycznej epoki wydaje się sztucznem i zakrawa zawsze na ambaras autora.

Wykonanie sztuki zasługuje z małemi wyjątkami na szczere uznanie. Prym wodzili niewątpliwie p. R y g e r w roli Olkrzyckiego i p. T a ń s k a w roli Matyldy, lecz i naturalna gra p. K n a p c z y ń s k i e g o (Dęboradzki) oraz talent charakterystyczny p. B e r s k i e g o składały ręce do oklasku. W trudnej roli Baluszyńskiego wystąpił p. O l s z e w s k i i w akcie trzecim stworzył typ doskonały, najlepszy niewątpliwie w dotychczasowej działalności swojej. Pod koniec jednak, gdy rola nabiera dramatycznych akcentów, zabrakło mu łez i szczerego bólu. Podobny los spotkał p. K a r p o w i c z a w roli Koresza. Gra jego w akcie III i IV raziła brakiem siły i prawdy. Zasobów głębszej dramatyczności jest mało w teatrze poznańskim.

Z innych osób zasługują na uznanie pp. C z e r n i a k, dobry przedstawiciel typów żydowskich i wiejskich, oraz J a k u b o w s k i w roli hr. Klaporzewskiego.

* * *

Na wtorkowe przedstawienie złożyły się trzy jednoaktówki: „Barkarola“ — „Mąż od biedy“ i „Czuła struna“. Rola Róży w pierwszym dramolecie to ulubiony popis wszystkich debiutantek. Każda szkoła i każda szkółka dramatyczna przygotowuje do „Barkaroli“ uczennice swoje. Nie wiem, kto pannę Talko ćwiczył w Barkaroli — był to może mistrz pierwszorzędny, — przekonałem się jednak, że nauka przylgnęła do niej tylko mechanicznie. Artystka była jak fonograf, a partner jej, p. T a r a s i e w i c z, był również drewniany, lubo, powtarzam raz jeszcze, tkwi w tym młodym aktorze materyał na bohatera.

Jedyny p. R y g e r ratował „Barkarolę“ a przedzierzgnąwszy się w następnej sztucce w Szymelskiego, znowu zadziwiał mistrzostwem charakterystyki. Z innych artystów występujących w „Mężu od biedy“ zasługuje na szczególne wyróżnienie p. R a c z e w s k i w roli Dawnowskiego i p. M o d r z e w s k a w roli Ludwiki. Młoda ta artystka zdaje się być korzystnym nabytkiem dla sceny naszej. Grę p. S t ę p o w s k i e j popsuła błędna charakterystyka zewnętrzna, na co zwracam uwagę reżyseryi. Twarz trupio blada, peruka rokoko i kostyum cudaczny złożyły się na prawdziwą karykaturę.

O ile „Mąż od biedy“, jako całość, wywarł nader korzystne wrażenia, o tyle końcowa operetka, stara i mdła „Czuła struna“, raziła najfałszywszą obsadą. Jedyna pani W a j d o w s k a posiada głos miły i dźwięczny, choć słaby, — reszta robiła heroiczne wysiłki, by zdobyć się na styl operetkowy, lecz głosu i słuchu nie było tam ani krty. Orkiestra pod batutą p. Zaremby wywiązała się dobrze z zadania swojego. *W. R.*

TO I OWO.

Jarmarki na konie w Kaliszu.

Brak rozwagi i przezorności — stary to nasz grzech, który przeszkadza pożądanemu rozwojowi niejednego przedsiębiorstwa. Biorąc się r razu gorąco do rzeczy nieobliczamy ściśle i doznajemy zawodu. Najświeższym dowodem tego są jarmarki w Kaliszu. Tego roku wiosną jarmark kaliski na konie udał się nadspodziewanie, bo ku temu nadgraniczne położenie miejscowości bardzo się nadawało: koni było dużo i pięknych, kupcy płacili dobre ceny — więc szło wszystko wesoło i swobodnie. Zachęceni dobrym początkiem, ojcowie Kalisza postanowili na jesień powtórzyć doświadczenie i zrobili, jeśli nie zupełne, to połowiczne fiasco. Dbały o powodzenie magistrat a głównie jego prezydent p. Grąbczewski, zaanonsował za granicą o jarmarku — przyjechali więc kupcy z Niemiec i znaleźli plac jarmaczny prawie pusty. Byli więc nabywcy, ale brakło towaru. Na drugi dzień wielu kupców zagranicznych wyjechało z pustemi rękami i ci zapewne zanotują sobie, iż niewarto jest

jeździć na jarmark kaliski... Jako objaśnienie tego względnego niepowodzenia, podają, iż okolica Kalisza nie była przygotowana na dwa jarmarki w ciągu roku, iż hodowla koni w tamtych stronach dopiero się rozwija i rozwinie za lat kilka pod wpływem odbytu. Zdaje nam się, że te wszystkie argumenty można było powiedzieć sobie przed ogłaszaniem jarmarku, uczyniony bowiem zawód kupcom zagranicznym nie będzie zbyt łatwym do powetowania.

NA WYŁOMIE.

(Sprawa opalenicka. — Moja rozmowa z adwokatem. — Album literackie).

Sprawa opalenicka tak elektryzuje całe społeczeństwo polskie, że nawet ta wielka gromada ludzi, która w dziennikach szuka tylko „drobnych wiadomości“ i anonsów z krzyżem, dzisiaj rzuca się chciwie na pierwsze stronnice i słowo za słowem pochłania z wilczym apetytem. Na ulicach, w kawiarniach i domach prywatnych, — wszędzie nowiny z międzyrzeckich sądów, wszędzie pan Carnap jest smutnym dnia bohaterem. Gdy słowa te piszę, rozgrywa się akt piąty dramatu. Czy będzie on prawdziwem wyrównaniem winy — i niczem więcej — według zasad Arystotelesa, czy tryumfem politycznych uprzedzeń, — tego dziś jeszcze powiedzieć nie umiem, a może z obawy przed prokuratorem nie powiem nigdy. Wiem jednak, że ten skorpion niemiecki, który w nas żądła zatapia, stać się może łatwo hurtownym dostarczycielem „przestępców“ dla oskarżycieli państwowych. Jest podobno jakiś robak jadowity w południowych krajach, którego ukąszenie w szał wprawia ofiarę. Oczy krwią nabiegają, piana z ust idzie, człowiek tygrysem się staje. Ten robak — znacie jego imię — mnoży się u nas z przerażającą szybkością.

Niedawno temu bytomski „Katolik“ uważał za potrzebne wysłać pod adresem czytelników swoich przestrogę, by o „krew zimną“ błagali Boga swojego. Oto modlitwa na czasie, nietylko w górnoszląskiej ziemi, lecz wszędzie, gdzie pod berłem pruskiem mowa polska rozbrzmiewa. A skoro nie każdemu ta łaska jest daną, że gdy mu drzazgi za paznogcie wbijają, on pali spokojnie cygaro lub liczy gwiazdy na niebie, więc może prawo szukać będzie coraz częściej paragrafów o pobiciu, obrazie, lub tem, co się „Grober Unfug“, czyli gumą kryminalną nazywa, — choć prawo inne, wyższe, nie papierowe łzami się zaleje.

A zresztą kodeks, — on rzadko się zmienia, lecz jego sługi tak często. Gwarzyłem niedawno z jednym z adwokatów. Chodziło o jakiś proces wytoczony sokołom, — tym biednym sokołom, którzy podobno w prężnikach mają ukryty dynamit, a gdy muskuły swe ćwiczy, to po to tylko, by dzielnie machać kosami. Otóż tych „wrogów państwa“ — jak prezes naczelny raczył nazwać gimnastyków naszych — zacytowano w jednem z miasteczek przed kratki sądowe, a przyjaciel mój opowiadał historyę procesu.

— Czy ich uwolnią? — spytałem adwokata.

On wzruszył ramionami.

— Gdybyś się zapytał o to przed trzema lub czterema laty, odpowiedziałbym: „Tak. Muszą ich uwolnić“, — lecz dziś jest wszystko możliwem. Paragraf się nie zmienił, lecz prąd inny, inni sędziowie, inna interpretacya. Przypomnij sobie tylko czasy walki kulturnej. Wyroki ówczesne pozostaną czarną kartą w dziejach sądownictwa. Karano ludzi o rzeczy, których w innych czasach nie poważyłby się żaden prokurator zamienić w akt oskarżenia. A jak ich karano! W drobnym wierszyku, opisującym żniwa, dopatrywano się namowy do buntu, — w żniwiarzach widziano kosynierów. Działy się niekiedy rzeczy wręcz nieprawdopodobne. Przypominam sobie, że jeden z redaktorów poznańskich przyniósł mi razu pewnego artykuł i oświadczył, że wytoczono mu proces o publikacyę artykułu tego. Nie pokazując aktu oskarżenia, prosił, bym znalazł ustęp inkryminowany. Przeczytałem, i nic znalazłem niczego. „Niech mecenas dobrze poszuka“ żartował mój klient. Przeczytałem raz jeszcze uważnie i wreszcie wskazałem dwa miejsca, które według ówczesnych pojęć mogły dać powód do skargi. Klient mój śmiał się głośno. „A to mi prawnik z mecenasa“ — zawołał i wskazał ustęp inny, — ustęp, w którym ani ja, ani nazajutrz dwóch moich kolegów żadnego atomu winy znaleść nie umieli. A jednak prokurator zwyciężył, — klienta mojego skazano. Kto wie, czy dzisiaj podobne nie nastaną czasy. Kodeks pozostawia sukjektywizmowi sędziów obszerne pole działania, heca antypolska zatruwa myśli i serca, a sędziowie należą do zwykłych śmiertelników. To, co dziś jest niewinnym uczynkiem, może jutro stać się karygodnym występkiem.

Tak mówił do mnie adwokat. Jakże się czasy zmieniają, jakże inaczej prawił ów znany młynarz do Fryderyka Wielkiego, powtarzając z niezłomną wiarą: „Są jeszcze sądy w Berlinie!“ Wpływ polityki na trybunały, — to ciekawy temat. Może który z jurystów naszych opracuje go na tle stosunków poznańskich.

Tymczasem jednakże mam inny projekt — także literackiej natury. Nasze panie z „Czytelni dla kobiet“ zamierzają złożyć hołd cieniom Emilii Sczanieckiej w formie tablicy pamiątkowej i marzą nawet o utworzeniu fundacyi imienia wielkiej patryotki. Myśl wcale piękna i świadcząca, że czytelnia, zamiast drzemać, jak każe zwyczaj poznański, manifestuje żywotność swoją, — obawiam się jednak, że apel do ofiarności publicznej zakończy się znowu zupełnem lub połowicznem fiaskiem, jak tyle podobnych projektów. Wina naszych niepowodzeń w kierunku gromadzenia groszy składkowych tkwi nietylko w finansowem wyczerpaniu społeczeństwa, lecz poniekąd i w tem, że nie umiemy w odpowiedni sposób pukać do publiczności. Odezwy w dziennikach tak często się powtarzają, że nie wywierają już żadnego wpływu, loterye również nie nęcą, a nasze koncerty amatorskie są prawdziwą plagą. Sprobujmy więc środka praktykowanego tak często w innych zaborach, a u nas mało znanego, — mówię o książce zbiorowej, o rodzaju albumu literackiego, którego ułożeniem zająć się powinna czytelnia. Kaliska „Prosna“ przyniosła znaczne dochody, warszawskie jednodniówki są rozchwytywane, czemużby w Poznaniu podobna publikacya udać się nie miała! Oczywiście po dyletancku do pracy zabrać się nie można, bo książka złożona z pensyonarskich wierszyków i wypracowań domorosłych publicystów nie zjedna sobie pokupu, lecz gdyby na pamiętnik składały się pióra literackie z wszystkich zaborów, to dobry towar znajdzie chętnych kupców, — nawet w Poznańskiem. Galicya zresztą dostarczy odbiorców, a i do warszawskich zamków dobierzemy klucza.

Wiem, że od czasu mej pamiętnej wojny z kobietami nie mam przyjaciółek w „Czytelni“. Sądzę jednak, że znajdzie się choć jedna dobra dusza, która z miłości dla sprawy plan mój w właściwem miejscu przedstawi i bronić go będzie. Na zakończenie dodam jeszcze, że autografy należy zachować i sprzedać w drodze licytacyi. To znowu grosza przysporzy.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* Przeglądu literackiego nr. 9 i 10 za miesiąc wrzesień i październik zawiera: B. Wieliczkówna: „Z wiosny życia“ przez J. Tretiaka, „Nurty“ Cezarego Jellenty przez J. Kotarbińskiego, A. Krechowieckiego: „Jestem“ i „Kres“ przez L. Glatmana, M. Gawalewicza: „Szubrawcy“ i K. Glińskiego „Klęska“ przez R. Zawilińskiego, J. Ogińskiego-Kontrymowicza: „Książę Hołuba“ i K. Junoszy: „Z papierów po nieboszczyku Czwartym“ przez K. Bartoszewicza, Strindberga: „Mieszkańcy Hemsoe“ przez K. Zdziechowskiego, M. Gawalewicza: „Dusze w odlocie“ przez M. Offmańskiego, Stan. Bełzy: „W kraju tysiąca jezior“, „Na lagunach“ i „Obrazy Korsyki“ przez K. Bartoszewicza, M. Lityńskiego: „Sycylia“ przez F. Konecznego, J. Styki: „Szkice z ziemi świętej“ przez M. Roztworowskiego, St. Biegańskiego: „Prace St. Konarskiego“ p. M. Offmańskiego, „Mowy“ Juliana Dunajewskiego przez A. Krzyżanowskiego, Fr. Piekosiński: „Kamienie mikorzyńskie“ p. Ad. Chmiela, ks. p. Smolikowski: „Historya kolegium polskiego w Rzymie“ przez ks. J. Fiałka, A. B. Lickiego: „Narodowość współczesna“ przez A. Krzyżanowskiego, X. J. C.: „Położenie i potrzeby kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych“ przez ks. Fiałka, Henryka Mayeux: „Pomysłowość zdobnicza“ przez M. R.. „Powszechna wystawa krajowa“ przez A. K. Nowiny z historyografii polskiej, pogadanka dra F. Konecznego w Związku literackim. Bibliografia czasopism polskich. Przekłady z polskiego. Pra e polaków w obcych literaturach. Cudzoziemcy o rzeczach polskich. Wiadomości literackie. Curiosa. Nekrologia: Z. Kaczkowski, A. Pawiński i t. d. Kwerendy. Odpowiedzi redakcyi. Ogłoszenia.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dziś, w sobotę ukaże się na scenie naszej porywająca swą wesołością krotochwila p. t. „Pan Dyrektor“. Tytułową rolę odegra p. Knapczyński. Główna rola kobieca spoczywa w rękach pani Zalewskiej. — Dowiadujemy się, że dyrekcya sceny naszej zamierza wystawić prześliczną jednoaktówkę Sudermanna pt. „Frycek“. Utwór ten należy do cyklu „Morituri“ i tak na wiedeńskiej, jak krakowskiej scenie doznał wręcz niezwykłego powodzenia. — Tysiączne przedstawienie „Damy kameliowej“ Dumasa przygotowuje się w paryzkim teatrze Renaissance. Sara Bernhardt ma grać rolę tytułową, a wszyscy aktorzy wystąpią w kostyumach współczesnych tym osobom, które były pierwowzorem dla autora. — Nowa sztuka Daniela Zglińskiego (autora Jakóba Warki) pt. „Szantaż“ przepadła z kretesem w warszawskim Teatrze Rozmaitości.

— **Jubileusz.** Henryk Rewakowicz, naczelny redaktor „Kuryera Lwowskiego“, kończy 1 listopada rb. czterdziesty rok pracy dziennikarskiej. W r. 1856 wstąpił on do redakcyi „Świtu“, który wówczas wychodził we Lwowie, i niebawem zjednał sobie rozgłos i szacunek jako zdolny publicysta i filar partyi demokratycznej. Jest to jeden z tych rzadkich w Polsce dziennikarzy, którzy przez całe życie pozostali wierni ideałom swoim; w rozwoju idei demokratycznej na galicyjskiej ziemi Henryk Rewakowicz pierwszorzędną odegrał rolę — zawsze czynny, ofiarny i wierny sztandarowi. To też z całego serca przesyłamy zasłużonemu koledze okrzyk „Ad multos annos.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ciekawa. „Tabu“ oznacza tyle, co „świętość“ i „nietykalność“. Słowo to pochodzi z wysp oceanu spokojnego.

Dumar. Nowelli nadesłanej drukować nie możemy, bo odcinek nasz zaopatrzony na czas dłuższy. O przekłady Vrchlickiego prosimy.

Fr. Ger. w Lipsku. „Janko muzykant“ już jest przetłomaczony dwukrotnie na język niemiecki. O adresie Dąbrowskiego dowie się pan w księgarni Gebethnera i Wolffa (Kraków).

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28